

Jesienna wizyta u znajomych i przyjaciół

Lubuska Plastyka w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im C. Norwida w Zielonej Górze

Po prawej stronie korytarza prowadzącego do sali wystawowej eksponowane plakaty. Szybsza od wnikliwego wzroku gorzka myśl, że autorzy wydarzeń artystycznych, jak i twórcy plakatów, pozostają jedynie w naszej pamięci. Treść zapowiadanych wydarzeń artystycznych uległa zamazaniu przez czas.

I Wystawa Plastyki i Sympozjum Złotego Grona. Rok 1963. Autor plakatu Marian Szpakowski. Informacja o czasie i miejscu, a używając dzisiejszego języka, logo imprezy, medal dla uczestników, także według projektu Szpaka. Plakatowe zawiadomienie o wystawach Stefana Słockiego i Kazimierza Rojowskiego. BWA rok 1968. Plakat autorstwa Jolanty Zdrzałik z roku 1971 informujący o złotogronowej wystawie i sympozjum w roku 1971. Zapowiedź ekspozycji rysunków Klemensa Felchnerowskiego w BWA z czerwca 1973. Rok 1974 wystawa także grafik Ryszarda Kiełba. Rysunki Stanisława Antosza z lat 1979-1985 eksponowane również w Salonie BWA. Na plakacie zrodzona ze strachu i desperacji Komitetu Ocalenia Narodowego, agresywna wrona. Ostatni anons plakatowy powiadamia o Jubileuszu 25-lecia ZPAP. Techniczne narzędzia pracy twórczej. Pędzel, dłuto, cyrkiel, stalówka, to proza życia, ze wszystkimi dramataми, radościami, sukcesami, awansami, aż po drogę na Wrocławską. A mnie nie opuszczało przygnębiające poczucie, paradoksalne, pozalogiczne, że oto jestem wśród przyjaciół bardziej ode mnie żywych. Myśl wręcz histeryczna, że w sensie dosłownym jestem mniej żywy.

Logiczna prawda wyeksponowana została w dziesiątkach katalogów ułożonych horyzontalnie w kilku gablotach przedzielanych pionową ścianką. To już nie echo traumy związanej z feretronami plakatów. Przygnębiające poczucie ustępowało przed sensem, że dokonania artystyczne jako wartość, zostały drukiem zapisane i nie sposób je zresetować jednym kliknięciem. Na pionie gablot pokaz grafik wykonanych w różnych technikach. I powraca bezbrzeżny, aktualny smutek. W drugiej gablocie katalog Ireny Bierwiaczonek. Okładka to piękny portret Artystki. Zamyślona, odpływająca. Autor tego fatum, Krzysztof Mężyński. Irena w grudniu 1994 eksponowała swoje prace w Galerii u Jadźki. Potem Jej liczne prace, za sprawą Andrzeja Toczewskiego, nobilitowały Muzeum Ziemi Lubuskiej. W gablocie czwartej rysunek Ireny bez tytułu. Kot mało przyjazny ucieka z krzesła. Za oparciem przystońnięta twarz muślinem. Wyraźnie czytelne wystraszone oczy. Co to może znaczyć? Jakie przesłanie? Drugi rysunek, to chyba wyobrażenie Nike z Samotraki? Jednak ważniejsza jest obrzydliwa mucha. Jej realizm zajmuje połowę kartonu po prawej stronie. Po lewej przybory malarskie, w typowym pracownianym ceramicznym naczyniu, słabo widoczne, ledwo zaznaczone. Wszelka próba interpretacji może być chybiona. Nie sposób jednak pozostać obojętnym i nad tymi symbolicznymi metaforami się nie pochylić. Sami budujemy smutne sensy.

Wróćmy jednak na czoło tego ordynku gablot. W pierwszej, kolorowa grafika Andrzeja Stefa-

nowskiego. Pięćdziesiąt lat temu pokazał mi notatnik z rysunkami Nikifora. Taki zeszytyk wypełniony architekturą. Stefanowski z uznaniem oceniał wrażliwość i co ciekawe, samą formę. Wtedy Nikifor był odkrywany. Mało kto uznawał sztukę Malarzy Gołębiego Serca. Rozkołysane *Wieże Samotności* zrodziły się znacznie później. Ile razy oglądam profesjonalne prace Andrzeja Stefanowskiego, dotyczące miasta i zabudowy, jego architektury, kompozycji i koloru, zawsze sobie przypominam Jego zachwyt Malarzem z Krynicy. Stefanowski ma 72 lata, za 5 będzie w moim wieku. Teraz przyznaje się do Nowosielskiego.

W drugiej gablocie Dorota Komar-Zmyślony. Twórcza droga, bogata, prace indywidualne, forma niebanalna, odkrywczą, to cechy charakterystyczne Jej obrazów olejnych. Dowcipna, nieco złośliwa, ale generalnie modela traktuje z sympatią.

Stanisław Czarnecki, profesjonalny do bólu grafik. Przedstawił upadek Ikara z dwuznacznym podpisem, wykorzystującym być może nazwisko – *W hołdzie Hołdzie. 1985.*

Trzeci pion to kolorowa grafika Ryszarda Kiełba. Ryszard był także hermetycznym, aż za bardzo, krytykiem sztuki. Miał własne teorie i preferencje. Gdy zaproponowano Ryszardowi zakup Jego pracy do Muzeum, odmówił, gdyż nie jest jeszcze klasykiem. Gdyby znalazł się w muzealnym inwentarzu, mógłby zatracić wolę tworzenia, gdyż tego rodzaju zapis może psychicznie przyczynić się do artystycznego lenistwa i osłabienia potencjalnych możliwości. Gdy wyjeżdżał do Kanady, pozostawił kilka prac w Muzeum z oświadczeniem: „Gdy nie odbiorę ich w przeciągu pięciu lat, staną się waszą własnością”. No i nie odebrał.

Na piątej gablocie *Dokumentacja Odzieży*, mocna grafika spięta emocją i kolorem Bogumili Michorzewskiej.

Teraz praca Mai Mazur. *Moja miłość do Krystyny* jest bezdenna, zda się powiedzieć studzienna. Lubię Jej delikatne rysunki, wyrafinowaną kreskę i jakiś dziwny, tajemniczy smutek, chociażby w prezentowanym *Pejzażu czy Moście*.

W szóstej ścianie Aleksandra Fichna-Chełkowska ze *Skowronkiem*. Wiele lat temu w Galerii u Jadźki, tej pierwszej parterowej, dosłownie, na kłęczkach prosiłem o sprzedanie akwaforty *Stajnia I*. Transakcja została dokonana. Nawet cenę pamiętam. Dedykacja z datą – 17 I 84. Głowa konia wychylająca się ze stajennego boksu. Żelazne sztaby i pręty, potężna

kłódka, krępująca poczucie wolności. Teraz polecam, nie tylko ornitologom, *Skowronka* Aleksandry Lekka, pełna optymizmu zawieszona między niebem a ziemią, radosna grafika.

Wandy Dajnowskiej *Twarz II* pochodzi z jej długotrwałego cyklu. Mało znana w kręgu aktywnych twórców. Także mało widoczne były jej prace na Salonach Jesiennych. Robiła swetro-sukienki na drutach. Kiedyś nieopatrznie zachwyciłem się robotą, kolorystyką i wzorem. Do dzisiaj jestem posiadaczem Jej pracy wydzierganej z wełny.

Z korytarza, przez oszklone drzwi widać sterylą salę wystawową. Na ścianach, normalnie, obrazy. Są i gabloty. Nagle delikatne. Metal i szkło. Podobne do tych z korytarza. Tutaj ustawione nieco z boku, w jasnej przestrzeni pełnej powietrza, oddechu i zieleni, prezentują się konkretnie i służebnie w stosunku do dzieł sztuki. To umiejętność aranżacji stworzyła klimat współpracy i współistnienia. Z lewej strony, po wejściu do tej obiecującej nostalgiczne przeżycia ekspozycji, w świetlistych ugrach portret, może znajomej, może przyjaciółki, Haliny Maszkiewicz. Artystka to wzór eleganckiej damy, roztańczającej lekki kulturalny dystans. Tworzy portrety w akademickiej estetyce powszechnie akceptowanej, bukiety kwiatów z poczuciem, że są piękne i pachnące. Opanowany perfekcyjny warsztat nadaje pracom szczególnej wartości.

Obrazy Małgorzaty Wolszczan-Kuźniar rozpoznawalne jak charakter pisma. Kolory ostre, deformacje czerwone i niebieskie. Klimaty zimne. Paradoksalnie te obrazy i modele emanują przyjaźnią.

Jolanta Zdrzalik znana z delikatnych portretów dzieci odwołująca się do tradycji portretowej uznanych historycznych konterfektów. Wyposaża swoje prace w rys indywidualności do tego stopnia, że są absolutnie Jej i niepowtarzalne. Zapracowana, pokonywana przez umówione terminy, które jakimś cudem stara się dotrzymywać. Anna Tokarska w wierszu zadedykowanym Jolce napisała:

Mówią ludzie, że już się nie zbudzę
kiedy tak zasnę w zachwycie nad miarę
niby w zapachu puszystych jaśminów

Dawno temu i ja wyraziłem zachwyt, pisząc o ogrodzie Jolanty Zdrzalik. Mój Boże.

Adam Bagiński szczególnie ceniony i znany jako mistrz subtelnej akwareli potrafi zaatakować brutal-

nym olejem i dynamiczną formą. Wytrzymały w trudach prowincjonalnej egzystencji pozostaje osobowością niepoddająca się korozji niedoceniania.

Jan Korcz, heros gorzowski, wojownik o nieokreślonym temperamencie. Chętnie kopał się z koźmi krytyki, o ile nawet najogólniej dotyczyła sztuki. Żył w szczęśliwej biedzie. Wszystko, co miało wartość, zamieniał na farby i płótno, nawet kupon materiału подарowany Mu przez Władysława Korcza z przeznaczeniem na garnitur. Pojechałem z Hieronimem Gwizdałą do Gorzowa na rozmowę z Janem Korczem. Byliśmy umówieni, zapowiedziani. Wiele sobie obieywałem z kontaktu zaprzyjaźnionych malarzy. Przygotowałem notatnik, wyostrzyłem ołówki. Po entuzjastycznym powitaniu zaczęła się oczekiwana rozmowa. W pewnej chwili Gwizdała na ścianie zauważył banalny portrecik. „O, moja Irenka!” – wykrzyknął z zachwytem. „Jaka Twoja?” – ryknął Korcz. Wyrwał mój kajecek, połamał ołówki, a zapiski zamienił we fruwającą makulaturę. Salwowaliśmy się ucieczką poganiani przez zazdrosnego, wściekłego samca. Potem w gorzowskiej Casablance długo i zawile Hirek mi tłumaczył, że owa Irenka z całą pewnością nie kochała Korcza. W Lubuskim Towarzystwie Naukowym w gabinecie prawie abstrakcyjny łągów we wściekłej kolorystyce dosyć typowej dla Korcza.

Bożena Cajdler-Gruszkiewicz znana i ceniona za portrety oraz martwe kwiatowe natury, z wartością artystycznych klejnotów, o których marzą uczestnicy Jej wernisaży. Nieco upiększająca modele kobiet, pogłębia psychologicznie i bezbłędnie oddaje mentalność bohaterki. Wręcz sakralne portrety dzieci. Przywiozłem dwie wnuczki z Poznania, aby miały pamiątki od dziadka, zrobione przez Bożenę. Płaciłem w ratach. Jedna z tych panienek, kiedy już oswoiła się nieco, wykazała odwagę i poprosiła, aby na portrecie był także jej piesek. Bożena wykazała zrozumienie, poprosiła o fotografie psa i teraz uroczy brzydal, jamnik ostrowłosy patrzy jak żywy i podobnie jak jego odpowiednik, bezczelnie terroryzuje dom.

Z okazji któregoś lecia bitwy pod Legnicą Muzeum Miedzi rozpisało konkurs wśród malarzy na dzieło upamiętniające to wydarzenie. Podjęto także opracowania naukowe dotyczące świadomości społecznej nie tyle o przebiegu potyczki, ile znaczenia tej bitwy dla losów europejskich. Przewodniczącą Jury zgodziła się zostać Bożena Kowalska. Antoni

Górnik przysłał obraz ukazujący zgiełk bitewny Mongołów ze śląskim rycerstwem. Artysta okazał się znawcą broni i strojów obu walczących stron. Obraz na miarę najlepszych scen batalistycznych. Górnik najwidoczniej lubi tradycję i folklor. Muzeum Etnograficzne w Ochli docenia realistyczne obrazy Antoniego Górnika.

Stefan Słocki to obszerny temat dotyczący historii plastyki w lewicowych ugrupowaniach i proletariackich tendencjach związanych z twórczością dla mas pracujących. To także świadek zmierzchu rewolucyjnych form plastycznych wypracowanych w okresie międzywojennym na Akademii Krakowskiej. Dokonano tego na oczach Słockiego w krótkim, ale agresywnym etapie socrealu. Warszawa daleko, Pan Bóg wysoko, toteż w Zielonej Górze, dokąd przybył w 1945 roku dość długo uprawiał malarstwo nieprzedstawieniowe. Okazało się jednak, że osadnikowi Stockiemu nie tylko skradziono zimowy płaszcz, ale powoli poczęto Go piętnować za uprawianie malarstwa z kręgu Berlewiego [Berek Lewi]. Stefan chodził z własnej nieprzymuszonej woli na wszystkie pochody pierwszomajowe, postanowił się wpisać w rzeczywistość Polski Ludowej, zaczął tworzyć nie tyle obrazy, co plakaty. Jego prezentowane na wystawie *Śpiewające Drzewo* wywodzi się z tamtego okresu, ale jest czymś zupełnie odmiennym od ponurego cyklu *Partyzanci*. To kolorowy romantyzm, ptasi chór, gdzie wśród gałęzi rozsiadły się wystrugane przez twórców ludowych ptaszki. Stefan po przewrocie powrócił do zakodowanego trendu Grupy Krakowskiej i tworzył na poły abstrakcję w realiach odnoszącą się do kubizmu miast, zmultiplikowanych muzycznych form, czy dekoracyjnych, geometrycznych układów florystycznych. Poeta Romuald Szura w wierszu *Rapsodia* informuje o marzeniach Stefana:

Chciałbym malować muzykę
Ten idealny ład świata
Akordy, gamy i rytmy
Uparcie maluję organy
Wysoki ton moich myśli
Dotykam starożytności
Jak kwiatu wiśni

Już dziś niewiele pozostało z tęsknotą za Stefanem z okresu, gdy za pazuchą nosił miniaturowego kundelka, jak i z późniejszego okresu, gdy

dźwigał przenośny bar gastronomiczny dla przyjaciół. Ogórki osobiście kiszzone, kiełbasa zrobiona według Jego receptury i księżycówka oczyszczona suszonymi śliwkami, ledwo zaprawiona miodem i złamana cynamonem. Życie Stefana skończyło się z poczuciem przygnębienia dla Jego licznych przyjaciół i chyba także dla koneserów przenośnego, zakotwiczonego w tradycji pikników, stołu. Dwie akwaforty stolicy, Stefana Słockiego, Warszawa złocista i niebieska to powrót do form, gdy tworzył i kształcił się w Krakowie pod wpływami Członków Grupy skupionej wokół Lewickiego, a zafascynowanej Malewiczem i Rodczenką. Wydział Sztuk Plastycznych Ludowego Komisariatu Oświaty, którym kierował Łunaczerski, był wtedy nadzieją awangardy europejskiej, a suprematyzm dla Słockiego stał się nieosiągalnym celem, dlatego że w ZSRR dopuszczono się zdrady proletariackich ideałów. Dla Stefana ta interpretacja była naturalna. Mandorle florystyczne, srebrne zbroje rycerskie, wszelkiego typu koncepcja geometryczna to dla Słockiego radosny świat po kneblach socrealu, w których tkwił niejako ubezwłasnowolniony przez własne poglądy i politykę państwa, którą akceptował.

Zbigniew Szymaniak, dziś Szymoniuk był pierwszym autentycznym zielonogórzaninem, który rozpoczął studia w wyższej uczelni plastycznej w Poznaniu. Muzeum co roku zakupywało jeden obraz, dopatrując się nieprzeciętnej potencji w zdolnym studencie. Po kilku latach na kolejną wystawę Szymaniak wypożyczył swoje obrazy z Muzeum. Na jednym z nich, wypisał, wymalował, daty swojego uczestnictwa w ekspozycjach. I tak do księgi inwentarzowej powróciło nie to samo dzieło. Komisja muzealna rozczarowana była tego typu współpracą. Kierownik Działu Sztuki Współczesnej nie bardzo wiedział, co ma zrobić z faktem, że w kartotece muzealnej z pierwotnym zdjęciem obrazu, pojawia się inna praca pod tym samym numerem. Na wszelki wypadek przestał typować do zakupów Artystę.

Zjawisko wódki jest ciekawe
Warto poświęcić mu rozprawę
[...]
Nad litrem z osowiałą twarzą
Zasiedli bracia Karamazow

To motto z *Traktatu moralnego* Miłosza do wiersza z tomiku Tadeusza Sojki. Do pracowni-mieszkania

Hilarego Gwizdały przy ul. Sowińskiego, z każdego miejsca było blisko. Przychodzili nie tylko przyjaciele:

aby wesolą długą fetą
czcić z gospodarzem wiarę w ludzi
tak długo aż się sam obudzi
poklnie, pomruczy i nie wytrwa
wyśle któregos po pół litra

To fragment wiersza Sojki, *Okna w Niebo*. Hirek wypisał dla mnie dedykację: „W dowód serdecznego koleżeństwa Kochanemu Jasiowi Hirek. Zielona Góra 30 I 90”. Tadeusz Sojka był w sensie współczesnym menadżerem Gwizdały, a ponadto serdecznym opiekunem. Bronił Go przed bohemą artystyczną i literacko-dziennikarską. To był także głos skierowany do mnie. Zapadł mi do serca ten gest rozsądku. Odwiedziłem Hirka raz i drugi. Przy trzeciej suchej wizycie: „Jasiu pośpiesz się po ćwiartkę, bo jakoś nie ma serdecznej rozmowy”. A gdy byłem już przy drzwiach: „Przynieś pół litra, po co masz dwa razy chodzić”. Potem Hirek zapowiedział, że zrobi mi portret: „Siedź spokojnie”. „Czy mogę się położyć?”. „Tak, ale twarzą do mnie”. Gdy się obudziłem, rysunek był gotowy. Mam to dziełko, bardzo mnie wzrusza i jakoś nie mam wyrzutów sumienia. Pamiętam wypisane na ścianie: „To sztuka zgnębić siebie i nie iść na dno”. Pamiętam kącik ze sztalugami, widzę ślepą ścianę tuż za oknem i słyszę głos Hirka: „Najlepsze są te ciężkie granatowe, nie lubię gładkich białych”. Jest takie zdjęcie Henia Ankiewicza, jak z wysoka polewa rząd, niestety, przeźroczyście kieliszków. Pamiętam kirem malowany przez wiele miesięcy portret Klema. Gdy bił dzwon u Świętej Jadwigi, słyszał: „Klem Klem Klem”. Hilary Gwizdała, kolorysta, pozostawił nam nie tylko landrynkowy obraz miasta, jego panoramę, ale także mniej znane zaułki i brzydotę kamieniczek w lecie i zimie. Miasto, które autentycznie Go przytuliło i poważało. Może za credo: „Wolę gorsze żarcie, aniżeli robić plansze”.

Strukturalny obraz Klemensa Felchnerowskiego to poświadczenie Jego najlepszego okresu twórczego. Człowiek legenda. Nie jestem pewny, czy naprawdę zniszczyła go prowincja. Walczył o własną suwerenność tak samo, jak o wolność w sztuce. A tutaj był totalnie wolny. Klem to temat na monografię nie tylko Jego, ale środowiska, w którym się obracał. Poeta, działacz, erudyta w szerokim zakresie, od sportu po muzykę. Na drzwiach do mieszkania

tabliczka: „Klemens Felchnerowski artysta malarz historyk sztuki technik budowlany”. Wspaniale łączył swoją wiedzę z funkcją urzędnika i organizatora. Stawał się mimo woli prowokacją dla gminnie wykształconej władzy, ale trzeba także dodać, że sam chętnie kpił i prowokował. Pierwszy Wojewódzki Konserwator Zabytków, współzałożyciel czasopisma społeczno-kulturalnego „Nadodrze” z legitymacją n. 1. Członek założyciel Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, Oddziałów Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Pracował jako scenograf i był dekoratorem miasta z okazji winobrania. Był pierwszym Prezesem Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Był kapitalnym szefem. Otaczał serdeczną opieką swoich pracowników. W gablocie poniżej obrazu, kolorowe, nieco monochromatyczne rysunki z wojaży po tzw. demoludach pod nadzorem wówczas ZSRR. Klem miał obiecaną przez Ministerstwo wycieczkę na Kubę, mimo że uczył się intensywnie hiszpańskiego do wycieczki nie doszło, podobnie jak do wystawy w Zachęcie, o czym osobiście zapewniał Klema ongiś szef ministerialny, a potem dyrektor tej instytucji, Mieczysław Ptaśnik. Klem jako plastyk był znany w kraju. Uczestniczył w komisji typującej obrazy do słynnego Arsenau. Wystawiał dużo i chętnie. Zarówno za granicą, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Londynie, w byłej NRD, ale i w Gorzowie, Szprotawie, Nowej Soli czy Bytomiu Odrzańskim. Pracował we wszystkich technikach, znał nurty i mody. Tworzył teorie i poszukiwał indywidualnej formy wypowiedzi, korzystając z tkaniny, wosku, kleju i nasion. Był szczupakiem w zielonogórskiej gliniance administracyjnej, wykopanej przez wojewódzkich urzędników pochodzących z chutorów i przysiółków, słusznych politycznie, lecz nielubiących inteligencji, a wybiórczo artystów dosyć szczególnie. Klemens Felchnerowski to myśl i działanie. Tworzył do końca, zapisując zajęcia skrupulatnie, stąd bez trudu w katalogu autorskim zrekonstruowano jego ostatnie godziny życia, a potem już drogę ku śmierci.

Niedaleko dwóch obrazów Klema kolejny tytan pracy, Józef Burlewicz. Jego mocny obraz powieszono na filarze podtrzymującym strop. Odczytałem to jako celową metaforę, oczywiście błędnie. Józek jest nadal modny. Kontrowersyjny i krytyczny do systemu PRL-u, a mimo to kupił trzy Jego prace Minister

Spraw Wewnętrznych w randze generała. Nabywali oleje i pastele do swoich biur najwyżsi urzędnicy, do mieszkań bogaci mieszczenie, kolekcjonowali snoby, a pragnęli mieć biedacy. To sztuka utrzymywać się z plastycznej emerytury i sztuki. Burlewiczowi się to udaje, ma także kupców zagranicznych. Osiągnął techniczne szczyty w pasteli. Tworzy wielkoformatowe oleje, zawsze ze społecznym przesłaniem. To On powiedział w opozycji do abstrakcji: „Żaden malarz nie wymaluje takiej ryby, której już by nie było”. W lutym 1987 w Galerii muzealnej Józefa Burlewicza zakładano Związek Artystów – Polska Sztuka Użytkowa. Prezesem został znany u nas rzeźbiarz Tadeusz Dobosz. Z Warszawy z tej okazji przybył Prezes nowego Związku, Karol Grams. Snuł się z zadumą od obrazu do kolejnego, przystawał, skręcał i wychylał z pionu głowę, aż wyraził z nietajoną złością opinie: „Po 1957 celowo wpuszczono malarstwo w abstrakcję, aby w sposób przedstawieniowy nie piętnować wad i błędów naszego systemu. Abstrakcjonista nic tutaj nie może zaszkodzić. Durnie plastycy poszli w wolność Zachodu”. Dwa tomiki poetyckie wydał Tadeusz Sojka pod wrażeniem sztuki Józka. W Muzeum Galeria Autorska Burlewicza powstała jako pierwsza. Zgromadziła 23 obrazy olejne, 42 pastelowe pejzaże. 3 gwasze, 2 grafiki, 3 rysunki. Pomiędzy pierwszym tomikiem poetyckim poświęconym jego twórczości – *Galeria niepokoju* Henryka Szykлина, a ostatnim Tadeusza Sojki – *Z powodu czerwieni*, minęło ponad 20 lat. Z tego wydawnictwa z roku 1996 fragment wiersza zatytułowanego – *Prolog zaniechanego pisania*:

i właśnie wtedy
wciąż zaczęło od morza
najpierw lekką bryzą zmarszczyła zatokę
niebawem już fale potoczyły się w brzegi
potoczyły się szkwałem
wystąpiły i grzmotem runęły
[...]
w niebo Orzeł Biały
na kształt Świętego ducha
czuwał ponad nami

Klemens Felchnerowski: „Gdybym wiedział, jak obraz skończę, nie zaczynałbym”. Józef Burlewicz: „Muszę wiedzieć od początku, co chcę namalować, gdybym nie wiedział, nie zaczynałbym”.

Anna Gapińska-Myszkiewicz i Bożena Cajdler-Gruszkiewicz wypracowały indywidualną formę. Ania zarówno w słonecznych, jak i monochromatycznych pejzażach. Bożena w urzekających portretach. Na tłocznych Salonach Jesiennych z łątwością rozróżniano Ich staranną malarską kaligrafię. Mimo silnych indywidualności pozostały skromne i ciche.

Marian Szpakowski w latach siedemdziesiątych, po wycieczce w Londynie, przywiózł do Polski powiew Zachodu. Założył międzynarodową grupę Krąg. Wcześniej uprawiał sztukę geometrii i malarstwo abstrakcyjne. Wypowiadał się w jaskrawych wydzierankach i kolorowej grafice. Tworzył rzeźbiarskie formy geometryczne. Uparty organizator z trudem porozumiewał się z oponentami. Stale i konsekwentnie dążył do wyjścia z zielonogórskich opłotków i udało się zrealizować to założenie na wystawach i sympozjach złotogronowych. Jeden z bardziej docenianych przez krytyków.

Boże ty mój! Na wystawie tak blisko siebie, Gwizdała, Klem, Burlewicz i Szpakowski, a zarazem tak dalecy formą i techniką malarską. Osobni i razem połączeni miastem i niewygasłą wolą tworzenia. Brakuje tylko Witolda Nowickiego, aby skonstatować, iż właśnie Oni nadawali ton zielonogórskiemu Związkowi Polskich Artystów Plastyków, estetyce miejskiej, wpływali na prace Biura Wystaw Artystycznych i walczyli dosłownie o egzystencję środowiska plastycznego przez zlecenia i zamówienia plastyczne.

Jan Pałka znany wśród rzeźbiarzy z betonowej bryły – Wstęga Möbiusa – ustawionej koło Filharmonii, na wystawie wystąpił z rysunkiem. Delikatną linię wydobył także z czekanek robionych dla Muzeum.

Andrzej Piastun w realistycznej pracy zatytułowanej *Infantylny*, sportretował ludzką biedę.

Dramatyczny, aczkolwiek zaplanowany spektakl kompozycyjny w plakatowej konwencji wystawił Witold Michorzewski. Kolidują trzech dwupłatowców. Grafik, twórczy, pomysłowy, utalentowany, jeden z nielicznych plakacistów liczących się w skali kraju.

Janusz Skiba, malarz, mistrz akwareli, wytrawny grafik przypomniał słynne *Okiennice*. To wczesna twórczość z zakresu akceptacji i zachwytu kontrastem geometrii. W tamtym czasie realistyczne osłony okienne stały się na gruncie zielonogórskim symbolem postrzegania świata w sposób futu-

rystyczny. Cezanowskie akwarele Janusza pozostaną w historii zielonogórskiego myślenia plastycznego. Artysta znany ze spokoju, koleżeńskiej pomocy jako cichy wielkiego serca człowiek.

Zielonogórski malarz z Gorzowa, Andrzej Gordon, szczególnie znany z cyklu erotyk, tutaj ilustrowanie *Dekameronu*. Andrzej należał do awangardowej grupy, podobnie jak On młodych plastyków i podobnie z przekłętymi życiorysami. Graficzne obrazy stworzyły Jego wizerunek. Giętka, chwilami wulgarna linia, mocne kolory w pastelach i obrazach olejnych, podejmowana tematyka, czyniły Go nieprzeciętnym i poświadczają także umiejętności. Uczestnictwo w licznych wystawach przyczyniło się do rozpoznawania nie tylko prac artysty, ale określały także Jego upodobania. Architekturę lokalną wzbogacał symbolicznymi, sensualnymi akcentami, podobnie jak własną pracownię. Był mocno kolorowy zarówno w twórczości, jak i w życiu.

Jolanta Zdrzałik stworzyła przejmujący portret, czarno-biała kompozycja, *Człowiek IV*, złożona z rąk i stóp. Nieduży format rysunku o tajemniczym, przesłaniu. Plastyczny oksymoron, metaforyczne zestawienie tytułu z treścią? *Człowiek I*, zagubione dziecko, dziewczynka w parku, lesie, widziana od tyłu, czyżby znowu symboliczna treść?

Agata Buchalik-Drzyzga. Caryca papieru, królowa tkaniny. Osobna twórczość wpisująca nasze środowisko w nurt ogólnokrajowy. Jej sztuka to wrażliwość na nowe techniki. To Jej priorytet. Byłoby jednak skandalem nie zauważenie Jej delikatnego ekslibrisu. Co bardzo ważne? Ogromna życzliwość do adresata. Poszukiwanie zainteresowań, studiowanie charakteru, nawiązywanie do tradycji kulturalnej, z którą stara się utożsamiać właściciela księgozbioru. To wszystko w delikatnej kresce emanującej życzliwością. Małe arcydziełka graficzne. Ostatnie lata to związki z ekologią. Okazało się, że i tutaj znalazła dla siebie znaczące miejsce.

Stanisław Para. Ukochany radosny ptaszek. Staszek jest znany w Zielonej Górze z wygrywanych konkursów na ekslibrisy, które poświęcił ludziom, architekturze, zabytkom i współczesnym instytucjom. Pracuje w metalu i osiągnął w tej trudnej technice szczyt możliwości. Nagminnie wyróżniany na konkursach, także poza krajem, organizowanych przez znawców i hobbystów ekslibrisu.

W 1982 roku Muzeum wydało Jego katalog z moim wstępem. Staszek oprawił w płótno to

wydawnictwo, dołożył 47 ekslibrisów odbitych ręcznie przez Autora z oryginalnych płytek miedzianych, zapakował to w drewnianą specjalnie wykonaną szkatułkę i z odpowiednią dedykacją mnie tym dowodem koleżeństwa obdarzył. Katalog został wydany na czerpanym papierze i edytorsko jest także cenną pamiątką. W norwidowskim „Pro Libris” głęboki, psychologiczny esej o Staszku, omawiający Jego drogę do sztuki, jako wielką miłość, opublikował Mirosław Kuleba.

Prezentacja sztuki zielonogórskich artystów to dla mnie osobiście ciekawa i poruszająca wystawa. Jak się dowiedziałem, to tylko wybór z bogatego zasobu Biblioteki. Korytarz prowadzący do sali wystawowej, z katalogami odbytych indywidualnych i zbiorowych ekspozycji jest dokumentacją dorobku zielonogórskich artystów. Otwiera możliwości na zapoznanie się z pracami twórców zasłużonych w różnym stopniu dla rozwoju życia artystycznego. Kamieniami węgielnymi tradycji, na której można się wesprzeć bez poczucia amatorstwa i prowincjonalnej estetyki. Wielu przyjaciół odeszło, ale pamięć bolesna

jest wypierana przez przypomnienie serdecznych gestów. Moja afekcja okresem minionym związana jest z przeszłością. Ale precz z nadmiernym sentymentem i melancholią, przecież pozostała grupa młodszych ode mnie, z którymi także jestem zaprzyjaźniony. Wreszcie ceniąc dorobek artystyczny młodego pokolenia, nad słuchuję, co się u nich dzieje, cieszę się z każdego awansu, gdyż jestem przekonany, że tworzą w natlenionej atmosferze przez artystów pionierów i późniejszych stypendystów Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz tych, którzy z własnej i nieprzymuszonej woli wybrali młode województwo, także spodziewając się osobistego awansu. I nie wiem, czy to istotnie mocne fundamenty, czy tylko twardy grunt, o który można się wesprzeć. Nawet tego typu wątpliwość nie pozwala niweczyć wspomnień. Awans to także zbieg przypadków. W małym zielonogórskim peryferyjni położonym mieście, na które wpływała polityka wschodniej części Brandenburgii, zachodniej Wielkopolski, północnej części Śląska i Łużyc, powstał Uniwersytet Zielonogórski, a przy nim Instytut Sztuki. To już nie jest przypadek.

